Nr 1. 1860. 1 Października.

NIEWIASTA.

Już sama nazwa naszego pisma powinnaby być dostatecznym programatem, wszakże niewiasty są naszemi matkami, żonami, siostrami i córkami. Są połową naszego rodu, wywierającą przeważny wpływ nietylko na drugą połowę, ale i na cały rozwój historyczny ludzkości. Jakiż może być cel pisma wyłącznie dla niewiast przeznaczonego, a niechcącego być dziennikiem mód? Powinno ono prowadzić do jasności umysły niewiast, do poświęceń ich serca, do szlachetności całe ich jestestwo. Powinno dobrze rozważonemi, przydatnemi i potrzebnemi radami służyć im w ich właściwym zakresie, w którym są twórczyniami i opiekunkami domowego pokoju i szczęścia, kapłankami świętego ognia, przy którym się ogrzewa serce mężczyzny, w zewnętrzym świecie ustawicznie oziębiane. Wcelu wytkniętym pismo nasze będzie zamieszczało:

Artykuły odnoszące się do kwestyj życia płci żeńskiéj w ogólności, a u nas w szczególności pod względem familijnym i obywatelskim. — Artykuły o wychowaniu. — Obrazy i opowiadania historyczne, biografie sławnych niewiast z naszéj i powszechnéj historyi, tradycye obyczajów i zwyczajów przodków naszych. — Powieści obyczajowe i humorystyczne. —Poezye. — Rozprawy estetyczne.—Rozbiory dzieł znakomitych.—Wiadomości z literatury bieżącéj i jéj dziejów, z uwzględnieniem szczególnem zasług autorek.—Sprawozdania z dziedziny sztuk pięknych — Wiadomości z działu nauk przyrodzonych i rzeczy odnoszące się do gospodarstwa domowego, ogrodowego, i. t. d.— Wiadomości bieżące. — Mody z objaśnieniami.

Redakcya, któréj sumienności i usilności pewnie nie braknie, pokłada ufność w zacnych Obywatelkach kraju, i spodziewa się spiesznego i licznego Ich przystąpienia do przedpłaty.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6	Złr.	—	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	—	„ „
Kwartalnie	1	„	50	„ „
Miesięcznie	—	„	50	„ „

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7	Zł.	20	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	60	„ „
Kwartalnie	1	„	80	„ „
Miesięcznie	—	„	60	„ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“.**

Siekierki, 20 września 1860.

Wezwałeś mnie, szanowny panie redaktorze, o przyczynek do pisma swojego *„Niewiasta“* — a ja pragnę z całéj duszy, z wolą serdeczną uczynić zadość temu zaszczytnemu wezwaniu. Oby tylko siły z tą dobrą wolą i poczuciem obowiązku zechciały pójść w parze.

Czuję i ja oddawna, jakby to wpłynąć można na zbawienny rozwój umysłu i wykształcenie serca córek polskich. Czuję to całem jestestwem mojem, im więcej patrzę na świat i im szczerzej a serdeczniej społeczność ogarniam naszą — im goręcej pragnę, by siostrzyce moje we wszystkich cnotach stały się wzorem dla drugich. Przyznają nam ogólnie jednę z najważniejszych, to jest gorącą miłość dla kraju! — Przechowujmyż ją i nadal, jako najcenniejszy klejnot, i usiłujmy łączyć z nią i wszelkie inne, a tem najsilniej, najtrwalej, najzbawienniej onej pierwszej cnoty dowody złożymy.

Polki zbyt często rozmiłowują się w obcych językach, w obcej literaturze — i w ogóle we wszystkiem zagranicznem. Odtrąćmy tę wadę od razu — z łatwością to pójdzie! — a pokochajmy swojskość całą duszą. Uczmy się obcych języków — choćby i kilku — ale nauczmy się nasamprzód swojego, i niechaj żaden obcy obok naszego nie stanie. Starajmy się poznać obce literatury— ale pierwej nauczmy się poznawać piękności własnej, i pokochajmy pisarzy naszych. Ta z pomiędzy nas, która woli mówić po francusku, aniżeli po polsku, która tylko obce czytuje książki, a swoich nie zna, — nie jest polską niewiastą, a każdy jej *frazes* o miłości dla kraju czczem tylko brzmieniem wypowiedzianem, ot sobie, dla zwyczaju — i niby na ironią zakrawa. Zapytywano raz w obecności mojej jednę panią — która kiedyś dawała dowody miłości i poświęcenia dla rodaków i kraju, czyli czytała jakąś świeżo wyszłą i z upodobaniem czytaną polską książkę? — „Nie“ — odrzekła, jak *najnaiwniéj* — „bo ja wcale polskich nie czytuję książek.“ Ta odpowiedź chwilowo w całem zebraniu milczenie sprawiła — milczenie cierpkie, a pewno i wzgardą zaprawne.

— Jakżeż to pogodzić z czynami dawniejszemi tej pani? — zapytałam sąsiada mojego, który znał ją oddawna.

— Pochodziły one pewnie z *jakiegoś* popędu, by w niczem drugim nie ustępować, może i *dla mody* — dodał z goryczą — ale nigdy z prawdziwego natchnienia: rodzaj komedyi i nic więcej.

Bolesno mi się zrobiło — a później, niestety! — nieraz jeszcze podobne spotykałam próbki.

W jednym z listów swoich opowiedział mi zacny Adam Pług, jak tam *gdzieś jakaś dama* wyrzekła: „Gdy kiedy chcę polską zobaczyć książkę, to ją sobie od mojego lokaja pożyczę.“

To są wszystko takie... takie... niedorzeczności, od których nam się, jakoby od czarta przeklętego odżegnać potrzeba! — Może ktoś zarzuci, że wyraz *niedorzeczność* jest tutaj zbyt łagodnym; ale myślę, że panie i panowie, przemawiając w ten sposób, ani wiedzą co czynią.

Piśmiennictwo polskie tyle pięknych dzieł dostarcza, że osoby rozmiłowane w literaturach obcych, gdyby tylko wzięły się do czytania ksiąg polskich, same oddałyby im sprawiedliwość i pokochałyby literaturę ojczystą — ale niemi uprzedzenie rządzi, uprzedzenie więcéj aniżeli naganne. Pochwyciły może kiedy jaki polski, licho napisany romans, i porzuciwszy go, na zawsze zrażone zostały. A wreszcie są i tacy, którzy pochłonąwszy nieprzeliczone szeregi romansów francuskich, popsuli sobie łechcącemi łakociami podniebienie, smak do zdrowszej i posilniejszej strawy — podobni do onych smakoszów za Stanisława Augusta, którym kucharze dla zaostrzenia apetytu, półmiski *assafetidą* zaprawiać musieli. Oj, prawdę nasz ulubiony wyrzekł spiewak:

Kogo zamorskie pachnidło przynęci,
Cóż mu aromat naszych sianożęci?

Należy się wszelako wypowiedzieć i prawdę, że już coraz mniej napotykamy takich, którzyby z lekceważeniem o literaturze polskiej mówili, a jedynie — li obce czytywali książki — i że tacy dzisiaj stali się już.... pośmiewiskiem!

Literaturę naszą, tak zwaną *piękną*, cechuje nadto i ta wielka zaleta, że jest *obyczajną*, prócz kilkunastu wyjątków, i niegodnych pamięci, potępionych zaraz z góry przez krytykę, i które szczęśliwie dość rychło przebrzmiały całkiem. Oznaczmy je wyrazami obcemi: francuskim *obscène* — i angielskim *slippery*.

Ale pomimo że literatura nasza powieściowa jest po największej części tendencyi moralnej, jakżeż bacznemi powinny być matki i nauczycielki, by za rychło i w zbytecznej obfitości nie dozwalać tego pokarmu pochwytnym umysłom dorastających dziewczynek. Bo jakkolwiek, że powieść moralna nie gorszy, to wszelako i najmoralniejsza niepotrzebnie i zawcześnie na wyobraźnię zadziałać potrafi — zresztą i smak popsuje do prac poważnych i pożytecznych.

Jestem sama powieściarką, odskoczyłaby mi ręka od zbrukania *białego* papieru nakreśleniem jakiego obrazka, zasługującego na miano *obscène* albo *slippery* — a wszelako niekażdą z powieści moich dozwalałabym młodziutkim i żywym poddać fantazyom.

Powieść wybrana przez matkę lub nauczycielkę, niechajby tylko panienkom na *rekreacyą* podaną była, a po przeczytaniu jej rozbiór pouczający nastąpił: ażeby nawykły od razu do ocenienia tego co przeczytają, i w dobrze opracowanem opowiadaniu nietylko-li za romansem, za bajką goniły, ale i prawdę poznały — i naukę znalazły. Nadto należy się zwrócić ku temu uwagę, by nie wymarzyły własnej swojej osóbki w której bohatyrce przeczytanej powieści a potem w pierwszym lepszym młodym człowieku nie upatrzyły ideału swojego. To już tak często bywało! — Opowiadał mi jeden z zacnych lekarzy naszych, że został raz wezwany do młodziutkiej panienki. Znalazł ją w mocnej gorączce — i po krótkiem badaniu, ile że go znała od dzieciństwa jako przyjaciela rodziców swoich, powierzyła mu: że kocha pana X. X., a rodzice jej nawet w domu swoim widzieć go nie chcą. „Wiem“ — dodała — „że on najgorszą ma opinią, że go nie przyjmują nigdzie, alem ja go pokochała: on jest *duszą mojéj duszy*, pragnę poświęcić się dla niego, jedną pójdziemy drogą, *ocalę go i każdą troskę z jego spędzę czoła...!*“ Dziewcze wyzdrowiało — szał przeminął — i wkrótce inny sobie znowu wynalazła ideał. Doktór twierdził, że od lat najmłodszych połykała massami przeróżne romanse, których jej zbyt słaba matka nie broniła czytać. Pochwytała wielkobrzmiące wyrazy, sadziła niemi, i jej młoda główka rozgorzała. Później poszła za mąż — a w lat parę po ślubie odesłał ją mąż do rodziców.

Panienka, która nawykła czytać wiele powieści, z przymusem tylko historyczne podejmie dzieło. Gdy zasmakowała w *Maryi* Malczewskiego, ani już spojrzy na twory Jana z Czarnolasu. Cudowna śpiewność i głębia uczucia tego prześlicznego poematu od razu wszystkie drgnienia młodziutkiego serca rozbudzić potrafią, rozognić wyobraźnią i unieść ją wysoko ponad zimną naukę jeografii, dziejów i historyi świętej. To też *Maryą, Wallenroda, Sonety* i t. d. tylko dorosłym pannom dozwolić można.

A cóż dopiero powiedzieć o romansach, mających miano *obscène* i *slippery*! To jest jad, który za młodu połknięty, nieraz cały przyszły zatruje żywot.

„Te to są książki zbójeckie!“

Oh, naprawdę, że zbójeckie! Oswoją młodziutki umysł ze zgorszeniem — z występkiem — a oswojony przedwcześnie nie przejmie się już zgrozą przynależną na moralne szkarady. Cóż dopiero, jeżeli serce namiętniej uderzy, a głowa rozgorączkowana błędne goni ogniki!

Panienka, która takie obrazy chociaż przelotnie tylko przebiegła, już traci dziewiczość myśli, niby kwiatek swój pierwszy, przeczysty puszek. Jeżeli zaś zrozumiała i ognistą pochwyciła fantazyą — biada jéj! — Dziecko z wiedzą złego, to potwór! Namiętność w niedojrzałem sercu, to podmuch szatana!

Z jakimże żarem pochłonie tak upromieniony umysł czarującem piórem napisane: *Indyanę, Walentynę, Lelią, Lukrecyą Floriani, Jaques* i t. d. i t. d. — i wyssie z nich jad dla siebie i dla drugich, w miejscu *nauki* i *przestrogi*, jakie autorowie na celu zapewne mieli. Skandaliczna *Fanny* będzie dlań *idyllą sercową*, i rzuci się z upodobaniem do romansów p. *Xavier de Montepin*. Tak pośliznie się dalej a dalej.

Niechżeby więc było jednem z zadań Redakcyi „*Niewiasty*“ wskazywać matkom i nauczycielkom, jako też i dziewicom naszym, nie tylko dzieła naukowe niewiastom przydatne, lecz i twory literatury pięknej, niosące obok rozrywki i moralny pożytek.

Powieść każdy czyta — i wiele jest osób, które jedynie-li tylko powieści czytają. Przez powieść najłacniej jaką upowszechnić ideę, przeto jest rzeczą sumienia, złego w niej nie rozrzucać ziarna — *bo wszystko jest siejbą*. Dla tego nader ostrożnym powinien być wybór dla kształcących się młodych umysłów — i sąd w tej mierze i rozbiór, bardzo wytrawne i oględne.

Wskazane w ten sposób książki: poezye, dramata, powieści i t. p., niechżeż zalegną stolik w godzinach *rekreacyi*, czyli to w porze letniej pod drzewami w ogrodzie, w altance — czyli też w czasie wieczorów zimowych przy jasnej lampie, ubarwionej wieńcem z sztucznych kwiatów, które drobne rączki stworzyły. Stół obsiędą: ojciec, matka, nauczycielka, domownicy i pa-

nienki z robótką w ręku — bo jakżeż to ładnie, gdy rączki nie próżnują nigdy — i po kolei każda z tych osób głośno czytać będzie. A głośne czytanie bardzo ładną jest rzeczą, gdy ktoś dobrze czyta — i tę niezbyt łatwą umiejętność nabiera się dopiero przez pojmowanie treści, poczucie piękna — a wreszcie i przez wprawę. Gdy która z panienek nie zrozumie jakiego ustępu lub wyrażenia, starsze osoby z objaśnieniem pospieszą. Humorystyczne obrazki uśmiechem rozweselą lica — rzewne, zapewne i łzę na oko sprowadzą — a łzy, to i perły, świadczące zawsze o pięknej stronie serca. W końcu powinna zdań zamiana nastąpić: panienki niechaj wypowiedzą swoje — a matka, ojciec i nauczycielka pouczą — i na wykształcenie smaku, poznawanie stosunków społecznych i ocenienie charakterów wpłyną.

Jednem z przyjemnych a i pożytecznych bywa także zajęć, gdy po przeczytaniu dobrej książki, naznaczywszy ustępy piękniejsze, trafniejsze, dowcipne — i zgodne z własnem widzeniem naszem, — panienki zapiszą je sobie w *pamiętniku.* Matka i nauczycielka powinny następnie takie przejrzeć notatki, a ztąd nieraz wiadomość o usposobieniu umysłu i serca panienki zaczerpnąć mogą, i otworzy im się jedna jeszcze droga do wywarcia zbawiennego wpływu.

Redakcya *„Niewiasty“* ma wielkie i piękne przed sobą zadanie — szczęść jéj Boże w téj woli poczciwéj!

Paulina z L. Wilkońska.

Niewiasta w obowiązkach religijnych.

Kościół Chrystusowy szczególniejszy wzgląd bierze na niewiasty, i nazywa je *płcią pobożniejszą.* (Devotior femineus sexus). I zaiste, religia Zbawiciela naszego jest religią *miłości. „Celem prawa jest miłość“* mówi Pismo święte. Nie dziw więc, iż niewiasta z natury swego bytu, żywsza i goręcsza w miłości, niż mężczyzna, pierwszeństwo też odnosi w objawieniu tej najświętszej, najczystszej spólnej ludziom z aniołami miłości, która nas kojarzy z Bogiem i z całem ludzkiem plemieniem.

Kochać i ofiarować się ukochanym przez siebie istotom, to jest celem życia niewiasty, to jej osładza tak pełne trudów i znojów obowiązki żony i matki! Ona też łatwiej i żywiej to pojmuje, chętniej i pełniej wykonywa, co naucza najdroższy nasz Zbawiciel: *„Kochaj Boga z całego serca i z całej duszy twojej. Kochaj bliźniego twego jak siebie samego. Bo na tem zależy cała wiara święta, bo to jej treść stanowi.*

Religijna niewiasta kocha więc Boga z całej duszy, z całego serca nadewszystko, a z tej miłości ku Bogu, chętnie pełni to wszystko, co Kościół naucza i czynić każe. Modli się więc, pości, słucha mszy świętej; jednoczy się z Bogiem przez Sakramenta święte. A miłość swą ku Bogu szczególniej też wyraża przez miłość ku bliźnim: wszystkim dobrze życząc, za wszystkich się modląc, wszystkim, ile w jej mocy, dobrze czyniąc. To jest jej *„religia czysta i niepokalana“* jak ją nazywa Pismo święte.

Nie tak dewotka! Tej nie wystarcza kochać Boga z całego serca miłością córki dla ojca swego. Ona swe światowe uczucia niewieściej próżności i zalotności przenosi do Boga. Temi chce zobowiązać sobie Stwórcę swego, a ponieważ go widzieć nie może, więc całe brzemie tego wewnętrznego szamotania się, swej więcej znudzonej jak stęsknionej duszy, składa na wybranego przez siebie kapłana. Ten musi być dość młodym, ile tyle przystojnym, bo tego niewieści instynkt wymaga. Serce jego musi być tak przepełnione miłością, iżby nią samą niejako oddychał, a usta jego wylewały obfite zdroje miłości przy każdem przemówieniu. Takiego gdy znajdzie, czyni go sobie jedynym i wyłącznym prawie przedstawicielem Boga, Religii, Kościoła, kapłaństwa. Innych kapłanów z pewnem lekceważeniem surowej poddaje krytyce, nicuje i podejrzywa każdy ich krok, każde ich słowo, by tem więcej w swym umyśle uwydatnić wymarzoną wielkość i świętość bohatera religii swojej.

Nie jedna z czytelniczek moich na prowincyi powie, iż przesadzam. Lecz Krakowianie i Krakowianki oddadzą mi świadectwo, że prawdziwa i sprawiedliwa jest ta moja mowa.

Ta próżność niewieścia wniesiona do religii, wyraża się u dewotki tą samą chęcią odznaczania się i zwracania oczu na siebie, jak u światowej niewiasty próżność odznacza ją w stroju i w postępowaniu w towarzyskiem gronie. Chrystus surowo potępia to uczucie pychy, które czyni, iż człowiek staje się faryzeuszem, to jest, nie uwielbia sobą Boga, ale siebie Bogiem uwielbia. Ileż to dewotek codziennie prawie przystępuje do komunii świętej, aby być widziane od ludu, uwielbiane dla swej pobożności i odszczególniane, jako święte, od tej pospolitej reszty matek i gospodyń domu, którym żmudne obowiązki codziennego życia niedozwalają tej religijnej wykwintności! Inne, jak to teraz w Krakowie w modę wchodzi, chociaż wręcz przeciwnie ustawom kościoła, przystępują do komunii św. o piątej lub szóstej godzinie wieczorem, ale, rozumi się, wtenczas tylko, gdy kościół jest pełen ludu, aby wszyscy widzieli i podziwiali ich całodzienną czczość, której nadgrodę tak tryumfalnie odnoszą, jak tryumfuje królowa balu z odniesionej nad towarzyszkami swemi niezaprzeczonej palmy zwycięstwa.

Gdzie tedy pycha, próżność, wystawność główną grają rolę, tam religia pokory i miłości przemienia się koniecznie w faryzeism dumy i zawiści. Tam o miłości bliźniego jak siebie samego, wcale już mowy być nie może! Wszystkie uczucia światowej niewiasty, chęć odznaczania się, zazdrość, podejrzliwość, pomawianie innych i nicowanie ich postępowania, wzgarda, ich lekceważenie, wyszydzenie każdego drobnostkowego uchybienia przeciw uświęconym dewocyi zwyczajom, długotrwała złość i zawziętość potęgują się w ich sercach pod pozorem żarliwości o chwałę Boga i zbawienie bliźnich, i przeradzają się w obrzydliwy fanatyzm, pełen potępienia dla wszystkich, którzy im się z jakiejkolwiek przyczyny niepodobają.

Niewiasta prawdziwie pobożna, uważa dopełnianie obowiązków swego stanu i powołania, jako najistotniejszą część moralności katolickiej. Przejęta ich ważnością i świętością, cichem a trudnem ich pełnieniem, składa Bogu ofiarę życia swojego. Wzgardzona za to od dewotki, która czuje się pełną świętości i zacności, gdyż większą część roku przepędza na odpustach i oktawach, któremi Kraków jest przepełniony. Niewyrzuci jej sumienie, iżby opuściła gdzie jaką konkluzyą, choćby jej przyszło dziecko chore zostawić na opiece niedbałej sługi, lub ściągnąć na siebie sprawiedliwy gniew męża, z powodu wynikłego ztąd nieporządku w domu. Biedna męczenniczka wzdycha z przepełnionem sercem boleścią prześladowania od bezbożnego świata, do którego, niestety i mąż jej należy! Ale niepomna, że w takiej religijności tyle właśnie jest cnoty, ile w rozkosznem życiu światowej niewiasty, która spieszy z balu na bal, i skrupulatnie żadnej nie opuści zabawy! Bo każda jest dla niej obowiązującą, i nie pojmuje tego, jak można być na jednej, a nie być na drugiéj.

Na bujnej winnej latorośli rozliczne rozrastają się gałązki. Przychodzi ogrodnik z ostrym nożem i odcina niektóre, acz piękne na oko. I mówi: Są to dziczki,

wilki, które odciąć trzeba, gdyż szkodzą latorośli. — I moją rzeczą jest, być takim ogrodnikiem! Szkodzi to bowiem wielce każdej niewieście, jeżeli uczucia grzeszne, światowe, z grzechu pierworodnego wynikłe, w jej duszy nabierają zdradliwych znamion świętości, i- zamiast zbawienia, o zgubę ją przyprawiają. Tem więcej gdy przez zbieg nieszczęśliwych okoliczności, taki rodzaj religijności, panujący w jakiem mieście, modą się staje.

X. W. Serwatowski.

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

Anna była ostatnią królową z rodu Jagiellonów, z nią nietylko ród ów królewski wygasł, ale oraz zaginął obyczaj dworu polskiego starożytny, zblakła cześć majestatu, skoro nowi królowie przyciągnęli nienawistną i przeciwną narodowi na dwór obczyznę. Oto słowa Piaseckiego, biskupa przemyskiego, najpoważniejszego z dziejopisów 17go wieku, słowa, któremi uczcił pamięć ostatniej córy Zygmunta starego, zmarłej we wrześniu roku 1596. Jakoż czcigodny biskup nietylko na swój czas prawdziwe, ale prorocze zarazem na przyszłość słowa wypowiedział. Starożytny obyczaj niewrócił już nigdy na tron polski, aby w postaci królowej osiąść przy boku króla, aby wzbudzić sympatyą kochającego swojskość narodu: niemiecki skład dworu Zygmunta III i Władysława IV (podczas życia Cecylii Renaty) ustąpił francuskiemu obyczajowi Maryi Ludwiki Gonzagi i Maryi Kazimiry, a tysiące nieszczęść, nieufność, niechęć narodu szły za tą przewagą obcego wpływu. Niebyło już na polskim tronie takiego serca, któreby kochając naród, powiedziało: „I siebie i rzeczpospolitę woli Najwyższego oddaję,“ jak to uczyniła Anna Jagiellonka. Dla tego to Polacy patrzyli zawsze z serdeczną tęsknotą za postacią sędziwej królowej „pani i matki swojej“ na której czole błyszczał ostatni blask złotego wieku jagiellońskiego, wieku, w którym miłość królów hamowała swawolę poddanych, w którym rodzicielska ich powaga wstrzymywała zuchwalców od świętokradzkiego zamącenia rzeczypospolitej.

Dla tego i my, pragnąc Czytelniczkom naszym przedstawić kilka historycznych naszych niewiast postaci, chwytamy najpierwej tę postać na rozdrożu stojącą, postać cichą a przeważną wpływem swoim, postać, która ostatnia poszła do grobu za ludźmi świetnej epoki, opłakawszy ich groby, z modlitwą i błogosławieństwem na ustach. Zbierzemy ile możności rozrzucone fakta tyczące się naszej świątobliwej królowej, jako nam każe cześć i miłość dla jej błogosławionego cienia.

Liczną była rodzina jagiellońska. Synowie Kazimierza Jagiellończyka zasiadali kolejno tron polski, najstarszy z nich dzierżał węgierską i czeską koronę. Zygmunt stary miał sześcioro dzieci, Władysław czeski i węgierski dwoje. Obaj mieli synów. Atoli wśród tego błogosławieństwa pojawiały się już pierwsze srogiego przeznaczenia znaki. W krótkim czasie wygasł szczep cały. Ludwik syn Władysławów zginął w walnej przeciw Turkom bitwie pod Mohaczem r. 1526, a siostra jego Anna wniosła Czechy i Węgry w dom austryacki. Jan Albert i Alexander niezostawili potomstwa, a Zygmunt August umarł bezdzietny. W roku 1472 żyło siedmiu Jagiellonów, w wiek potem niebyło już żadnego. Nad trumną Zygmunta Augusta stała ostatnia dziewica Jagiellońska, opuszczona, samotna, nasza Anna królewna.

Dziwnie los rozrządził dziećmi Zygmunta starego. Najstarsza z nich, urodzona z poczciwej Barbary Zapolskiej, Jadwiga, poszła za Joachima II księcia brandeburskiego i umarła walcząc do śmierci z cisnącym się ku niej luteranizmem, miejscem i życiem na zawsze od ojczyzny odcięta. Wnuk jej Jan Zygmunt, ożeniwszy się w r. 1618 z prawnuczką Zofii córki Kazimierza Jagiellończyka (wydanej za księcia Fryderyka z linii Brandenburg Anspach) objął Prusy książęce, po śmierci Alberta II, a linia jego stała się śmiertelną a skrytą nieprzyjaciółką pani swej feodalnej, Polski.

Izabella wydana w r. 1539 za Jana Zapolyę wojewodę siedmiogrodzkiego i króla węgierskiego, owdowiała po roku, walczyła do końca życia o koronę dla swego syna Jana Zygmunta. Po kilkoletnim na dworze rodzicielskim pobycie, powróciła wygnanka do państw męża, aby we dwa lata potem strudzoną głowę położyć: syn jej umarł bezdzietny o dwa lata wcześniej przed Zygmuntem Augustem.

Katarzyna wydana w r. 1562 za Jana szwedzkiego powiła dwoje dzieci w ciężkiem więzieniu, które dzieliła z mężem, przewalczyła całe życie z cisnącym się na dwór luteranizmem, i niedożyła nawet pociechy, aby syna swego Zygmunta III widzieć na tronie polskim.

Zofia, poszedłszy za mąż 1556 za Henryka księcia brunszwickiego, umarła niezadługo, rozniemogłszy się w podróży, którą do swej siostry, osierociałej śmiercią brata, Anny przedsiębrała.

Anna przeżyła swego brata i wszystkie siostry. Siedmdziesiąt trzy lat liczyła, kiedy poszła za nimi do grobu.

Było to r. 1523, d. 18 października, godziny 13 *), kiedy, jak mówi Bielski, urodziła Zygmuntowi Annę, królowę polską, dzisiejszą panią naszą, Bona Sforcya. Świetne zwycięztwa Tarnowskiego, Kmity, Tęczyńskiego nad Tatarami brzmiały nad kolebką nowonarodzonego niemowlęcia. Dziecinne lata królewny spłynęły w najświetniejszych rzeczypospolitej czasach. Książę Albrecht pruski składa hołd na rynku krakowskim, liczne poselstwa zagraniczne starają się o przyjaźń potężnego i cnotliwego dworu. Tarnowski zwycięża (1531) wojewodę Petryłłę w walnej pod Obertynem bitwie, gromi Moskwę pod Starodubem; Ostafi Daszkiewicz i Przecław Lanckoroński uganiają się za Tatarami po stepach ukraińskich. Wielcy mężowie jak biskup i kanclerz Tomicki, Jan Łaski, Krzysztof Szydłowiecki, Jan Tarnowski trzymają w rękach ojczyznę. Poczyna się wielki ruch umysłów obudzony reformacyą.

Dwór królewski stoi w całej swojej świetności. Obok poważnego i popularnego Zygmunta błyszczy córa południa, Bona Sforcya, pięknością i mezkiem prawie wykształceniem. Wyniosłej i prawdziwie królewskiej postaci, złotych włosów, czarnych brwi i oczu, dziwnej zgrabności w ruchach, królowa była najwybryndniejszą włoską pięknością. Mówiła płynnie i ozdobnie po łacinie, tańczyła jak pierwsza tanecznica, rozum głęboki widać było w każdem jej słowie. Pod tą piękną obsłoną kryła się jednak czarna, namiętna ku złemu dusza, dusza niezdolna miłości ani poświęceń, dusza Messaliny rzymskiej, chciwa panowania, łakoma na pieniądze: królowa Bona wcześnie już poczęła mącić świetność czasów Zygmunta. Dopóki żył Tomicki i Choiński, dopóki więcej jeszcze było ludzi starej daty na dworze, wpływ jej był mniej zgubnym: skoro ci pomarli, najcnotliwszy tron Europy stał się widownią włoskich szkandałów. Płaczem, chorobami udanemi, umiała Bona zmiękczać serce Zygmunta, szczerze do niej przywiązane, a w miarę, jak się król starzał, do coraz większego przychodziła

*) Na całym zegarze. Dawniej zegar pokazywał i wybijał 24 godzin na dobę. (Przyp. red.)

znaczenia. Zaniedbując córki swoje, jak tego liczne wskażemy dowody, Bona zwróciła się całkowicie ku wychowaniu młodego Zygmunta Augusta, sprowadziła mu Włochów do nauki, trzymała go wśród swego lekkomyślnego frącymeru i chowała skrzętnie przed wpływem polskości. Wymawiały to królowi stany r. 1535 i wyznaczyły Piotra Opalińskiego kaszt. gnieznieńskiego, aby młodość królewicza na pieczy miał i tego doglądał, żeby niepotrzebnemi rzeczami król się niebawił i uczciwych nauk żeby pilnował. Niestety Piotr Opaliński dał się użyć królowej Bonie i sam zły wpływ wywarł na królewicza. Wiadomo, jakie sceny wyprawiała Bona królowi, gdy na żądanie stanów, kazał iść królewiczowi na wojnę. Widoczną było rzeczą, że idąc za polityką wszystkich rzędzioch świata, chciała z królewicza potulne uczynić narzędzie. Krew dzielna ojca niepozwoliła na to. Zygmunt August wyemancypował się powoli z pod wpływu matki, ale stósunek jego do niej na całe życie najprzykrzejszą przybrał postać.

W latach 1535 i 1539 rozłączył się Zygmunt z dwoma córkami Jadwigą i Izabellą. Jadwiga urodzona z Barbary Zapolskiej poszła za Joachima brandeburskiego kurfirszta. Kurfirszt w kilka lat potem chwycił się nauki Lutra, a gdy na żonę także począł napierać o odszczepienie się od wiary ojców, wysłał troskliwy ojciec biskupa kujawskiego Łukasza z Górki, aby ją w wierze utrwalił. Jadwiga też, pomimo nieprzyjaznych okoliczności, zachowała do śmierci religią swego domu. Izabella najstarsza z dzieci Bony wydaną została roku 1539 za Jana Zapolyę, wojewodę siedmiogrodzkiego i dożywotniego króla Węgier. Był to człowiek już niemłody, bo 52 lat liczący, sterany bojami i słabowity. Spokrewniony z Zygmuntem przez siostrę swoją Barbarę, pierwszą i niepodobną do Bony żonę Zygmunta, Janusz Zapolya, przez ciąg burzliwego swego życia, znajdował ciągły punkt oparcia w Polsce. Nie chciał wprawdzie mądry Zygmunt wikłać się dla niego w wojnę z Ferdynandem, niepochwalał nadewszystko związków z Turkami, w które tenże dla utrzymania się przy koronie wszedł: ale wpływem swoim starał się wyjednać pokój między oboma stronami, i wielokrotne w tym celu do obu wysełał poselstwa. W r. 1527 Janusz Zapolya zbity pod Tokajem przez Mikołaja Salma, wodza cesarskiego, uciekł do Polski i przez ośm miesięcy gościnnie był podejmowany w Tarnowie przez Jana Tarnowskiego. Powołany przez Węgrów wyszedł ztamtąd z licznemi poczty Tarnowskich, Tęczyńskich i Hieronima Łaskiego, Zapolya ruszył na Ferdynanda całą wielką potęgę ottomańską, która w r. 1529 obległa Wiedeń. Padła klątwa papieska na króla Janusza, padła na Hieronima Łaskiego jego poplecznika i doradzcę. Król Zygmunt (1530) znów wszelkich dołożył starań, aby, gorszącą między Chrześciany wojnę uśmierzyć. Napróżno francuski król Franciszek I napominał Zygmunta, aby, korzystając z ucisku potężnego sąsiada, wespoły z Turkami podał pomocną rękę Janowi Zapolyi, napróżno Turcy ciągłemi przyjaznemi oświadczeniami wzywali go do czynnego pobratymstwa: sprawiedliwość i chrześciańskie uczucie Zygmunta nie mogło przychylić się do tej niesumiennej polityki, której ofiarą samaż Polska potem padła. Zygmunt dopiero wtedy zbliżył się do Janusza Zapolyi, kiedy tenże w r. 1539 zawarł pokój z cesarzem Ferdynandem, a to pod warunkiem dożywotniego tylko dzierżenia węgierskiéj korony.

Dziwna rzecz zaiste, że Zygmunt skłonił się oddać córkę staremu królowi, który zrzekł się naprzód praw sukcesyi dla swego potomstwa. Niedarmo powiedział Stańczyk, gdy królewna odjeżdżała: Trzebać jéj przygotować dom w Krakowie, bo niedługo wróci. Może skłaniała Zygmunta wdzięczność ku Zapolyi, który pokój z wojewodą Petryłłą zapośredniczył, może sympatya dla krewnego. Może i królowa Bona chciała się pozbyć córki, któréj nigdy nie lubiła. Dobre stosunki, które odtąd między królem Zygmuntem a Ferdynandem się ustaliły, uwieńczone zostały wnet małżeństwem Elżbiety austryackiéj z Zygmuntem Augustem, projektowanem jeszcze w roku 1530.

Smutne były losy Izabelli Zapolskiej. W kilka miesięcy po narodzeniu syna Jana Zygmunta, umarł jéj mąż, stary król Janusz. Fatalny traktat ogołocił dziecię z korony. Ale Izabella była energiczną i ambitną, była matką! Cóż znaczyły u niej traktaty? Chciała syna swego widzieć królem, chciały tego stany węgierskie przywiązane do krwi Zapolyów. Posłała więc Jerzego Martinuzzego biskupa waradyńskiego do ojca o pomoc i radę. Zygmunt, chociaż przywiązany do córki, pozostał wierny polityce traktatów. Radził, aby ustąpiła z Budzynia i kontentowała się własną oprawą. Bolesna matka nie poszła za radą ojca: rzuciła się ku środkom, używanym przez męża: zawezwała pomocy tureckiéj. Odtąd aż do r. 1552, w którym do Krakowa wróciła, królowa Izabella szamotała się z losami w Węgrzech, jako ofiara wielkiéj i szlachetnéj miłości macierzyńskiéj.

Tymczasem chmurzyło się coraz bardziej na dworze królewskim. Na krzesłach biskupich i dygnitarstwach koronnych pojawili się ludzie dwuznaczni, wkupiwszy się darami i występkami w łaskę królowej: Gamrat, człowiek rozwiązłych obyczajów, został biskupem krakowskim po cnotliwym Choińskim Branicki, Noskowski, Dzierzgowski, Górka, Uchański inne posiadali krzesła. Piotr Kmita z Wiśnicza wojewoda krakowski, człowiek gwałtowny, podstępny, chciwy, okrutny, został najpierwszym królowej powiernikiem; gładki, śliski i wymowny Ocieski, wspinał się do kanclerstwa. Z ludzi dawnéj daty pozostał tylko dumny, ale szlachetny i dzielny Tarnowski i podkanclerz Samuel Maciejowski, wzór cnót kapłańskich i wykształcenia światowego w Zygmuntowskim wieku. Szlachta narzekała na ucisk panów, tamowanie sprawiedliwości, przedajność urzędów, na obyczaj zagraniczny i wdzieranie się do spraw państwa królowej Bony. Burza ta wybuchła w osławionym rokoszu Glinianskim, nazwanym wojną kokoszą. Stary król musiał ostre znosić wymówki, musiał być świadkiem scen gwałtownych i ubliżających jego królewskiemu majestatowi, i tylko wielka jego pobłażliwość i wyrozumiałość, znaczenie cnotliwych kilku senatorów, potrafiły uspokoić ten zgubny objaw niechęci narodu. Niepoprawiło się jednak nic na krolewskim dworze. Król się starzał, słabiał na woli, królowa coraz szerzej rządy swoje rozpościerała. Ofiarą jej przewrotności padła najpierwej młoda, dobra i piękna żona Zygmunta Augusta, Elżbieta rakuzka.

Małżeństwo to, dawno przez Zygmunta upragnione, przyszło nareszcie 1543 r. do skutku. Królewna miała zaledwie lat 16. Zygmunt August niestety, zepsuty staraniami matki, nieumiał cenić swojego skarbu, nieumiał zasmakować w godziwej i szlachetnej miłości. Jakoż niedługo po ślubie młody królewicz odjechał do Litwy, zostawiwszy młodą małżonkę przy matce *„co ludzi jęło obchodzić.“* Młode dziewczę doznało niegodziwego ze strony matki obchodzenia. *„Obmową“*, czarami, odstręczała Bona syna od żony, podbudzała w nim chęć zbytków i rozpusty. Młody królewicz na biesiady, polowania, pijatyki, wydawał w Wilnie po 10000 dzisiejszych złotych tygodniowo. Cesarz Ferdynand pragnął się naocznie o losie córki przekonać i obiecał się Zygmuntowi w Krakowie r. 1544. Chcąc przeszkodzić tym przykrym dla siebie odwiedzinom, Bona łzami i pieszczotami wymogła na starym, do zbytku jéj uległym królu,

że do Litwy pojechał. Niepodobna było wstrzymać dłużéj połączenia małżonków: wzięto Elżbietę w tę podróż. Ale nieodstępując od pierwszego zamiaru, wysłała równoczesnie do syna, aby przed ojcem i żoną na Ruś, niby dla opatrzenia zamków, wyjechał. W tym celu sprzeciwiała się stanowczo, aby niejechał Samuel Maciejowski, nastawający na królewicza o poczciwe z żoną pożycie. Nieudały się jednak te niecne zamysły. Królewicz osiadł z żoną w Wilnie i odtąd z niechęcią na dawnych doradzców spoglądał. Przyjechawszy r. 1545 do Krakowa i przyjmowany z zapałem przez wszystkich, okazał tym razem, że poznał się na intrygach matki i jej zauszników. Młody pan z niebardzo łaskawą twarzą przyjął arcybiskupa, a Opaliński kasztelan gnieźnieński, ów dawny od królowéj Bony nasadzony wychowawca, nawet mu się niepokazał. Niechciał nawet młody król stać na zamku, tak dalece się stósunki z matką zerwały. W zajściach, rozmowach Bony z synem, nic macierzyńskiego niebyło.

Ale to stanowcze zerwanie z Boną, nie pomogło już biednej Elżbiecie. Opuszczona od męża, umarła dnia 17 czerwca (podczas jego bytności w Krakowie.) Młody król oblókł się w żałobę, ale prócz czarnej sukni niedał innego znaku żałości. „Nikogo atoli niebyło w całem królewstwie, któryby straty tej świątobliwej pani nieoblewał łzami. Helena nie była nad nią piękniejszą, ani najświątobliwsze panny bardziéj święte.“ Dziwna to rzecz i na prawdziwe czary wyglądająca, że jej Zygmunt August nie kochał. Widać serce jego namiętne nie obudziło się jeszcze do tej wielkiej, rzadkiej miłości, jaką wnet do wdowy po Gastoldzie, Barbarze Radziwiłłownie oddechać począł. Jak dalece splugawionym był dwór królewski przez przewrotność Bony, dowiadujemy się z listów Stanisława Górskiego, kanonika krakowskiego, do Dantyszka biskupa warmińskiego pisanych. Królowa w jawnej żyła przyjaźni z kasztelanową Dzierzgowską, z domu Soboczkówną, kobietą najgorszych obyczajów. Przez nią wyjednywano sobie u Bony urzędy i zaszczyty. Sam brat jéj, Soboczko miał dostać pieczęć kanclerską. Pracowano statecznie, aby Maciejewskiemu kanclerstwo odebrać. Ale najzgubniejszą rzeczą w działaniu przewrotnej królowéj było, że sprzeciwiała się i intrygowała przeciwko unii Polski z Litwą, z tej jedynie przyczyny, aby z swoich litewskich dóbr poborów na wojnę niedawać!

Wśród takich to okoliczności rosły i wychowywały się królewne nasze, Katarzyna, Zofia i Anna. Dziwić się należy, że wyszły tak czyste, tak polskie, tak staroświecką tchnące cnotą. Przypisać to trzeba zapewne zaniedbaniu matki, która jak wszystkie kobiety tego rodzaju, nielubiła córek i nietroszczyła się o nie. Biedne królewskie dziewice niemiały często stósownego do swego stanu utrzymania, a nieczuła matka niepomyśliła nawet, aby im los zapewnić, choć się niepomału w lata wpędzały. W ciszy klasztornej prawie siedziały na zamku krakowskim nieuczestnicząc w ciągłych matki podróżach. Jedyną ich rozrywką był brat, który się od czasu do czasu pojawiał.

Roku 1548 w samo święto Wielkiejnocy, zgasł królojciec po długoletnim, świetnem i cnotliwem panowaniu. Syna nie było w Krakowie: nad zmarłym stały tylko królewny i Bona. Stósunek Zygmunta Augusta do rodziców był mocno naprężony w ostatnich czasach; z ojcem jednakże porozumiał się wreszcie po widzeniu się w r. 1547. Należy przypuścić, że stary Zygmunt widząc miłość jego wielką ku Barbarze, widząc błogie skutki tego związku na moralne usposobienie syna dał się przebłagać i choć rzecz zamilczał, spokojniej może kładł się do grobu, widząc syna zabezpieczonego od bezdróż młodości. Lecz królowa matka, na pierwszy posłuch o małżeństwie syna, zagorzała gniewem, którego nawet w liście do Izabelli o śmierci męża donoszącym, utaić niebyła w stanie. Jakoż dojrzała w niéj wcześnie gorąca chęć zniszczenia zarazem małżeństwa i szczęścia syna jedynaka.

Smutna i tragiczna musiała być chwila, kiedy dnia 1 maja 1548, Zygmunt August stawił się w Krakowie, w osierociałym śmiercią ojca grodzie. Z drżeniem zakochanego w pięknéj Barbarze serca, tęskny i pełen obawy o jej zdrowie i spokojność, młody król miał się pierwszy raz spotkać z wszystkiemi przeciwnościami, które zagrażały jego szczęściu, miał się spotkać z surową twarzą Rzeczypospolitéj, która jego postępki sądzić miała, z zagniewaną i tajemniczą twarzą matki, która w ciemnościach przędła sieci na zgubę jego gorąco ukochanéj żony. Na paradnych marach zamkowej sali, leżał jego ojciec, w białej dalmatyce, złotych na barkach armillach, z koroną na złotej lamowej czapce, z berłem i jabłkiem w rękach — w majestacie zarazem śmierci i królestwa. Przy trumnie stała królowa matka, siostry, dygnitarze, duchowieństwo. Samuel Maciejowski witał młodego króla mową pełną prostoty i żałoby. — Obrzędy te musiały na młodym umyśle sprawić głęboki i bolesny wpływ: musiały napełnić namiętną duszę przeczuciami smutnemi. Pod żalem Bony musiał przeczuwać młody Zygmunt gniew nieubłagany, gniew obfity w pomysły nieprzyjazne, w surowej twarzy senatorów dojrzał zapewne niechęć dla siebie, bo w liście do Mikołaja Radziwiłła, brata żony i przyjaciela od serca pisze: „W rzeczach naszych, nadziewamy się od królowéj Mci matki niemałego ciosu!. . .“

Jakoż wielka burza czekała go na piotrkowskim sejmie. Wszyscy senatorowie, z wyjątkiem Tarnowskiego i Maciejowskiego, tego poczciwego biskupa, który rozumiał potrzeby duszy Zygmunta, obrócili się przeciw Barbarze, klękano przed królem, aby ją opuścił, życzono raczej najazdu tureckiego, niżli rodaczki na tronie. Zygmunt trwał nieporuszony w wyrzeczonem szlachetnie zdaniu: „Jakże wam wiary dotrzymam, jeżeli małżeńską złamię.“ Sejm się rozszedł w powszechnem na króla oburzeniu. Ale król miał już biedną, stęskniona Basię swoję przy sobie i gotów był przenieść wszystko, byle jej nieopuścić.

Wśród burzy tego sejmu, odebrał był Zygmunt August list od sióstr swoich, zachowany dotąd, który jako dowód serdecznej ku niemu miłości królewien przytaczamy. Biedne królewne z głębokim współudziałem zapewne patrzyły na przykrości brata, i życzyły mu z duszy, aby mu nikt szczęścia niezamącił; oczekiwały one z tęsknotą przybycia młodej królowéj, wziętej z ojczystego gniazda, znajomej na dworze, a może i towarzyszki lat młodych; ale pod cenzurą srogiej matki nieśmiały wynurzyć swego życzenia, tylko w ogólnych wyrazach modliły dla niego, tego wszystkiego czego pragnie. *„Nam służebnicom WKM. ku wielkiej radości.“*

Najjaśniejszy miłościwy królu! panie a bracie nasz miłościwy!

„Zaleciwszy służby swe pokornie w łaskę W. K. M. naszego M. Pana, zdrowie WKMci przez ten list pokornie nawiedzamy: którego my najpokorniejsze służebnice W. K. Mci wiernie życzymy i Pana Boga prosimy, aby Pan Bóg W. K. Mość raczył na długie czasy w dobrem zdrowiu, we wszystkich fortunach i pociechach zachować i to wszystko dać, co W. K. M. raczysz sobie od Pana Boga żądać, *nam służebnicom W. K. M. ku wielkiej radości.* — Jako W. K. M. nam rozkazał, abychmy W. K. M. w te święta nieprzepomniały, my tak, jakochmy

zawdy zwykły w modlitwach swoich niedostojnych Pana Boga prosić za zdrowie W. K. Mci i za fortunne panowanie, tak i terazmy prosiły: a przytem służby swoje pokornie w miłościwą łaskę W. K. M. zalecamy, jako naszemu miłościwemu Panu. — Warszawa w dzień młodzianków 1548.

W. K. MCI

powolne sługi siostry a sieroty

Zofia, Anna, Katarzyna."

Prostota i niewieści charakter tego listu niezostawiają żadnéj wątpliwości, że go biedne królewskie sieroty same układały.

Że im zaś dobrze na świecie być nie musiało, że z zupełną słusznością uciekały się pod opiekę brata swego, świadczy list królowej Izabelli do Matki i Zygmunta Augusta, posłany przez umyślnego wysłańca z przedstawieniem potrzeb zaniedbanych królewien. Świadczy rada senatu, zaraz po śmierci królewskiej 1548 odbyta, która czuła się obowiązaną przypomnieć matce obowiązek wydania za mąż i wyposażenia córek. Trafiał się podówczas książę pruski Annie, a brandenburski Katarzynie; atoli królowa Bona oddaliła obu dla różnicy wiary. Mamy przyczynę wierzyć, że nie sama różnica wiary była przeszkodą, że było nią także niesłychane skąpstwo królowej. *(d. c. n.)*

Sonety Michała-Anioła.

Przy małej znajomości literatury włoskiej, bo ledwie obiły się o uszy niektóre znamienitsze utwory poetów klasycznych włoskich, nie można się dziwić, jeżeli u nas nie są znajome poezye Michała-Anioła. Z resztą sława jego rzeźbiarska i malarska, tyle nań zlała wielkości, że już prawie miejsca nie było na wieniec poezyi. Wprawdzie kto czytał żywoty Vasarego, mogły go zastanowić te słowa: „Niebo użyczyło Michałowi-Aniołowi, krom innych jego talentów, jeszcze spory zapas wyższej filozofii i szczytny jeniusz poetyczny, zapewne aby w jednej osobie pokazać doskonały wzór wszechrzeczy, będących w największem poważaniu i czci pomiędzy ludźmi!" Do tego jeśli czytający zauważał ów sławny sonet zaczynający się od słów:

Giunto è gia 'l corso della vita mia,...

a który Michał-Anioł posłał był Vasaremu z listem, mógł domyślać się, że taki jeniusz, w pewnej szczęśliwej chwili próbując rymu, skleił co od niechcenia. Tymczasem nie był to kaprys, lecz rzeczywiste poetyczne namaszczenie, które ozwało się w nim w późnym nieco wieku, gdy poznał Wiktoryę Kolonnę margrabinę Peskary, i gdy ją stracił na zawsze. Podwójne cierpienie z powodu tak późno jawiącego się anioła miłości i z powodu straty ukochanego przedmiotu, wycisnęło z serca artysty te łzy, które polały się sonetami i piosneczkami.

Cały ten zbiór poezyi mieszczący kilkadziesiąt sonetów i kancon, wyszedł dopiero po śmierci Michała-Anioła, zebrany i wydany przez jego synowca Buonarottego, naprzód w roku 1623 we Florencyi, a następnie w r. 1726 tamże *). Najnowszą edycyę zrobił Biagoli w Paryżu 1821, i komentarzem opatrzył. Domyślać się można, że zbiór ten nie jest i nie może być zupełny. Z powodu że Michał-Anioł pisząc bez pretensyi do autorstwa, miał zwyczaj wierszyki swoje posyłać przyjaciołom i znajomym; tym sposobem zapewne niejedno przepadło na zawsze.

Przedmiotem opiewanym w sonetach i piosenkach Michała-Anioła jest w połowie miłość jego do Wiktoryi Kolonny z którą się poznał w Rzymie roku 1541, gdy liczył już lat 67, a w połowie bogobojne uczucia o śmierci i o dusznem zbawieniu. Około Boga, sztuki i piękności, skupiają się wszystkie jego myśli. Jedno spojrzenie, rozmowa, widok oddalającej się Wiktoryi Kolonny, białość marmurowej bryły, pogoda niebios, śmierć kochanki, przyjaciela, przeczucie śmierci, pamięć młodości, obudzają jego myśl poetyczną związaną z powołaniem rzeźbiarza i malarza, surowego katolika, lub namiętnego kochanka. Lubo ze wszystkimi włoskimi poetami od cesarza Fryderyka II, aż do Danta, Petrarki i Bokacego, hołduje owej myśli platonicznej, która otrząsa ze siebie wszelkie światowe i zmysłowe pragnienie, a tworzy sobie istotę niewieścią wątpliwéj niekiedy exystencyi, jako pośredniczkę między stworzeniem kochającem a Bogiem — to mimo tego dalekim on jest od owego ckliwego, zawikłanego mistycyzmu, w jaki wpada niekiedy w sonetach swoich Gwido Kawalkanti, a nawet sam Dante; również nie jest tak manierowanym i tak wyrafinowanie słodziutkim jak Petrarka. Pierwotna prostota, przytem energia męzka, i surowość ascetyczna na sposób jak Sawonaroli, którego był wielbicielem, tworzy główny charakter poezyi Michała-Anioła.

Prawdziwość jest ich największą zaletą; poeta nie zmyślał, ale przezto wszystko w rzeczywistości przechodził, co w poezyi wyśpiewał. Próżnobyśmy szukali w tych krótkich utworach malowidła obyczajów ówczesnych, lub pojęć o sztuce — są to bowiem proste natchnienia jednej chwili; wyraz improwizowany myśli przebiegającej przez serce lub głowę artysty, ujęty w formę słowa. Dla tego można je uważać jako świetne dopełnienie jego dzieł artystycznych, jako ogniwo w połączeniu z ogniwami innych jego płodów, tworzące nieprzerwany łańcuch czynności duchowej.

Gdyby nie samą wewnętrzną wartością tych poezyj, tak niezaprzeczoną — to jako płodem piśmiennym tego samego jeniuszu, co stworzył sąd ostateczny, posąg Mojżesza, kopułę ś. Piotra, i warownie Florencyi, jużby interesować się można, choćby ze względu tej psychicznéj zagadki: czy prawdziwy jeniusz na wszystkiem, co nawet niewchodzi w obręb jego zawodu, piętno swoje wyciska?

Bez uprzedzenia przyznano mu, że je wycisnął nawet w tych drobnych sonetach i madrygałach składanych częstokroć nieumiejętnie i niedbale, jak tego można się spodziewać po kimś, co pisze nie z autorskiego powołania, lecz dla siebie, dla zbolałego serca ochłody, jak łza skrycie płynąca...

Przekład sonetów Michała-Anioła nastręcza niemałą trudność z powodu zawikłanego niekiedy stylu, a częstokroć niedostatku ścisłości w sformułowaniu myśli — tak dalece, że trzeba wnikać w intencye autora, i dopiero wypełniać rzeźbą wyrazów to, co on niewyraźnie jenialnym dłutem tylko po wierzchu naznaczył... Dosłowność nietylko jest niepodobną, ale nawet byłaby wadliwą, gdyż jeszcze bardziéj osłabiłaby stronę stylu, dość słabą w oryginale.

Podajemy na próbę kilka sonetów w przekładzie Lucyana Siemieńskiego. Tłumacz pozwolił nam wyjąć je, z przygotowanych do druku poezyj Michała-Anioła, które wydane będą obok z textem włoskim, opatrzone wstępną rozprawą i przypisami.

Z obioru naszego między poezyami do „Niewiasty" stósownemi, tłumaczyć się nie widzimy potrzeby, skoro wiemy, jakie stanowisko w naszém piśmiennictwie—

---

*) *Buonarotti il Vecchio — Le sue rime, raccolte de Michel-Agnolo suo nipote.* Firenze 1623.

mianowicie co do przekładów z obcych języków — zajmuje znany tłumacz królodworskiego rękopismu i Odyssei. Jakżeż zaś trudno dziś o prawdziwie piękną poezyę!... Niż mierność oryginalna, lepszym przecie jest wzorowy przekład, prawdziwie pięknej poezyi Michała-Anioła.

I.

Non ha l' ottimo artista alcun concetto...

Artysta niema takiego pojęcia,
Coby w marmuru łonie już nie tkwiło,
Byle wiedziona dłoń myślącą siłą
Umiała bryłom zadać trafne cięcia.

Podobnie w tobie, o boska i dumna!
Tkwi złe co straszy, i dobre co nęci;
Lecz skutek całkiem wypadł wbrew mej chęci —
Sztuka zawiodla — a mnie czeka trumna...

O moje krzywdy nie winię nikogo:
Ani miłości, ni losu, ni ciebie,
Chocieś tak piękną, gardzącą i srogą.

O duch nikczemny winuję sam siebie,
Bo tyś mi z sercem niosła śmierć i życie,
A jam śmierć tylko wypijał sowicie.

II.

Non è colpa mai sempre empia e mortale...

Nie zawsze grzeszną taka miłość bywa,
Którą w nas piękność zapali kobieca,
Jeśli z nią czystych uczuć w pierś napływa,
Jeśli w nas światło niebieskie roznieca.

Podobna miłość budzi i przymusza
Rozwijać skrzydła; ogień, co wniéj płonie,
Pierwszy to stopień, zkąd tęskniąca dusza
Zrywa się w górę, i aż w Twórcy tonie.

Miłość, o któréj mówię, pragnie wyżéj,
Obca jéj próżność i pociąg zmysłowy;
Miłością taką tylko mąż surowy

I czysty płonie; ona z niebem zbliży,
Duch jéj siedzibą; zmysłowa tkwi w ciele
I z łuku swego strzela w podłe cele.

III.

La forza d' un bel volto al ciel mi sprona.

Przez moc piękności, co mię tu zachwyca
Więcej nad wszystko, — do nieba się wznoszę,
Aby podzielać wybranych rozkosze.
Łaska ta rzadko żyjących zaszczyca.

Twórca w harmonii takiej z swém stworzeniem,
Że aż do Niego myślą wzlatać mogę,
Czerpać w nim uczuć i słów zapomogę,
I na wskróś goreć miłosnym płomieniem.

Przeto im dłużej patrzę w twe zrenice,
Tem więcej wierzę, że to przewodnice
Gwiazdy, co drogę do nieba mi ścielą.

A tak przejęty żarem, co z nich pryska,
Czuję już przedsmak śród tego ogniska
Jak się tam w niebie anieli weselą.

IV.

Jo fu, già son molt'armi, mille volte.

Niegdyś za młodu biegłem w twoje szranki,
I nieraz na śmierć przeszyłeś mię strzałą;
Lecz dzisiaj z głową taką osiwiałą
Czyżbym się złowić dał na obiecanki?

Ileś to razy ogniem pożądliwym
Piekł mię, lnb gasił pożar co mię trawił;
A ileś razy, gdym we łzach się pławił,
Srodze się pastwił na bladym, półżywym?

O tobie mówię, na ciebie się skarżę
Amorze! zdrad twych sztuka się zużyła,
I strzały twoje za nic sobie ważę.

Spopielonemu drewnu żadna piła,
Ni czerw nie szkodzi. A tobież niewstydno
Scigać istotę wątłą, jak ja biedną?

Marzenie pana Bonawentury

opisane przez niego samego.

Moje kochane i piękne panie i panienki! Nie dziwujcie się najpierwej, że ja tak poufale z wami poczynam i za drugiem słowem o kochaniu mówię. Macie Asindźki wiedzieć że w czerwcu mam pełne ośmdziesiąt ośm lat, a chociaż dzięki Bogu dosyć się czerstwo chowam i krzepko na nogach stoję: myślę przecie, że mam zupełny przywilej traktowania was poufale, ile że ani wy mnie, pomimo oczu pięknych i strzelistych, ani ja wam, pomimo przyjaznego afektu, niebezpieczni sobie wzajemnie nie jesteśmy. Kiedy na was patrzę, przypomina mi się moja nieboszczka żona, świeć Panie nad jej duszą, i moje córki, które także już pomarły i myślę sobie o nich, rychło je zobaczę, bo mnie jakoś Pan Bóg długo na tym świecie trzyma.

Tak jest, kochane i piękne panie i panienki, urodziłem się dawno, bardzo dawno, bo anno 1772go. Złe były czasy wtenczas kiedym się rodził, ale ś. p. ojciec mój, jako był człowiek pobożny a poczciwy, powiedział nad niemowlęciem te słowa: „Niechże ci Pan Bóg da lepszych doczekać.“ I nazwał mnie dla tego Bonawenturą. Bodaj te słowa rodzica mego proroctwem się stały, o ile, że je powiedział w wielkiéj a szlachetnéj boleści a i śmiercią niezadługo przypieczętował. Ja czekam i czekam: odumarła mnie żona i dzieci, a wnuczęta już podrosły. Widziałem siła złego, a ile włosów na mojej głowie, tyle bym nieszczęść naliczył. A czasem, jak mnie zewsząd zawioną wieści zepsucia, upadku, to już doprawdy myślę, że niedoczekam niczego dobrego. Ale w Panu Bogu nadzieja.

Otóż baję i baję, jak stary. Nie powiedziałem wam jeszcze, dla czego chwyciłem za pióro, choć prawdę powiedziawszy, ręka mi się trzęsie, tylko mnie Asindźki nie wydajcie. Wziąłem się do pisania nie lekkomyślnie, jak to dzisiejsi czynią skrybenci, co to nienauczyli się gramatyki, a piszą rymy i uczone rozprawy; ale rozmyślawszy dokładnie materyę w której mam pisać, a zastanowiszy się, czy to z pożytkiem dla was będzie. Bo to niby bzdurstwo, ot, mara tylko, a przecie mi coś powiada, iż godzi się opowiedzieć wam wszystko. Powiadają, że starzy miewają sny prorocze: któż wie? może taki miałem. To pewna, że wszystko, co w mej bazgraninie będzie, poczciwe jest a pożyteczne— dla tego też piszę. A że zasłyszałem o nowéj gazecie dla was wyłącznie wydawanéj, a przedmiot mój was się tyczy, więc się przejdę sam do redaktora, aby moją ramotę umieścił.

Dziwna to doprawdy rzecz, o której mam pisać. Boję się, żebyście mnie Asindźki nie wzięły za waryata, co go jeno do czubków wsadzić na starość. A przecież mi się to wszystko śniło by na jawie, jak prawda że mam lat 88.

Otóż macie Asindźki wiedzieć, że ja z woli bożéj widać jestem zapalonym reformatorem i moralistą. Pamiętając dobrze, za co nas Pan Bóg karże, i życząc sobie! abyśmy z razów Jego ojcowskiéj ręki zbawienną zawsze wyciągali naukę: chodzę po świecie i patrzę się, czy się co poprawiło, czy widać ślad skutku tych cięg sowitych, które nam sprawiedliwość boska wyliczyła.

I oto, powiadam Asindźkom, że mi czasami do desperacyi przychodzi, jak u nas powoli i nieznacznie każda skutkuje nauka i doświadczenie, jak włazimy stokroć w stare błoto, z któregośmy przed chwilą wybrnęli. Nie raz już nam się bieda dobrze w uszy nalała i byliśmy tak nieszczęśliwi, żeby był nad nami ptak upłaknął. Ale skoro człowiek ochłonął, nuż się znowu w nim dawny djabeł obudza, a Pan Bóg musiał sobie w niebie powiedzieć, że tym Polakom i boćkowskim nieporadzi batogiem. Chwilę to niby stulimy głowy do kupy, jesteśmy zgodni, zapaleni do dobrego, do poświęceń, oddalibyśmy wszystko dla publicznego dobra i zdobylibyśmy samo niebo i raj: ale ledwie ta chwila minie, już też jak mrowie leżą na nas wszystkie słabości i grzechy świata: próżność, lenistwo, zbytki, choroby cudzoziemskie, niezgoda, brak zaufania, energii, siły moralnéj. Reformatorowie krzyczą aż im gardła pękają, śmieją się, szydzą, dowodzą, proszą, zaklinają, wszystko nadaremno: wodę przelewaj, woda będzie! A ja, ja stary cobym koniecznie chciał się doczekać lepszych czasów i jak Symeon do Zbawiciela, ręce do przyszłego polepszenia podnoszę, ja połykam łzę, mospanku, co mi płynie po starej facyacie i bardzo mi smutno się robi na sercu!

Otóż taki bardzo smutny byłem niedawno w sam dzień moich urodzin. Ośmdziesiąt ośm lat! ośm krzyżyków! to niemała liczba. Dwóch ludzi by się do sytu nażyło. A ja jak na nieszczęście samo złe prawie spotykałem w tym dniu, jak gdyby się kto sprzysiągł na starego.

Idę rano do kościoła pochwalić Pana Boga i podziękować, że mnie zdrowo chowa. W kościele ludzi dużo, ale nabożeństwa nie wiele. Była to owa msza elegancka. Tłum strojnych jejmości i jejmościanek zaległ ławki, wyniosłem się jak niepyszny, usuwałem się coraz dalej boć to takie wszystko jedwabne, aksamitne, muślinowe, że człowiek boi się pomiąć. A miejsca niema, bo krynoliny jak uzurpatorki określają zaraz ogromną przestrzeń naokoło, której pani lub panna potrzebuje. Fircyków także nie brakło, z czubami rozdzielonemi na dwoje, jakby szramę przez łeb w boju od nosa do karku odnieśli, z angielskiemi bakenbardami, albo długiemi koziemi brodami. A wszędzie blade twarze, blade oczy i szkła w oczach. Niewiedziałem że do nabożeństwa skieł potrzeba. Ja mam wprawdzie okulary, ale w książce do nabożeństwa; panicze nie mieli książek, modlili się po ścianach, po ławkach, udzielali sobie spostrzeżeń pobożnych i śmiali się, nie wiem z czego, jużcić chyba z Pana Boga. Panienki kiwały się nad książkami, ale ja tam nie wierzę aby się bardzo modliły. Żeby były takie nabożne, toby były *pro primo*: nie przyszły tak późno do kościoła, kiedy zgiełk największy, ale wstały rano i poszły sobie cichutko pochwalić Pana Boga; *pro secundo*, nie byłyby się tak bogato stroiły, bo widziałem nie jednę, co wexel ojca nosiła na plecach w postaci drogiej mantylki, albo na głowie miała kapelusz, którego wartość obżywiłaby przez tydzień ubogą rodzinę jej kuzyny. Zgniewałem się więc, mospanku i smutny wyszedłem z kościoła.

W domu czekała mnie familia. A mam wnuczek i wnuków niemało. A no! chwała Bogu, niezapomnieli o starym dziadzie, uściskałem to bractwo i rozgościłem a jąłem się przypatrywać i egzaminować na co panicze i panienki powychodziły. Było kilkoro, których niewidziałem lat kilka. Spłakałem się serdecznie.

Zwróciłem się najpierw do wnuczek. Ładniutkie widzę i strojne i układne. Opsypały mnie powinszowaniami, robótkami, upominkami. Jam też sporą pakę cukierków wyciągnął.

— Powiedzcież mi asindźki, coście się nauczyły.

— O ba! dziadku, odpowiedziała Marynia, podobniuteńka do mojej poczciwej Kasi, Panie świeć nad jej duszą; my się bardzo dużo nauczyły. Ja i Zosia umimy już wcale dobrze po angielsku, o francuzkiem ani mówić.

— Były na pierwszym pensyonie, zapewnił p. Walery, zięć mój, poczciwy ale trochę powierzchowny człowiek.

— Bardzo pięknie, że umiecie po angielsku. Od przybytku głowa nie boli. Cóż więcej?

— Marynia śpiewa uczenie i ma dobry sopran. Zosia gra na fortepianie, nawet Liszta i Willmersa.

— I to nie szkodzi. To mi zaśpiewa jaką starą narodową piosnkę.

— Ach dziadku! rzekła Marynia krzywiąc noskiem, to już dziadkowi zaśpiewam jaką aryą z Trovatora Verdego.

— A dla czegóż wolisz Verdego od narodowéj piosnki.

— Ach! bo to takie oklepane.

— Aha! powiedziałem, oklepane. To aśćka wszystkie rzeczy narodowe tak znasz, że jej się aż oklepały. No! to powiedz mi aśćka, kiedy to, w jakim roku i w jakich okolicznościach była bitwa pod Kliszowem naprzykład? Jużcić umiesz historyę polską.

— Uczyłyśmy się historyi polskiéj, ale w krótkości; więceśmy o takiej bitwie niesłyszały.

— No, to wiesz zapewne kiedy zawartym był smutny traktat buczacki?

Marynia spuściła głowę. Zosia także nic nie odpowiedziała.

— Ja daleko lepiej umiem historyę powszechną, podług Lamé Fleury, wyjąkała Marynia.

— To źle, że polskiej nie umiesz. Ale tyś mniej winna. Spodziewam się, że sobie weźmiesz do serca naukę starego dziadka i sama się jej nauczysz. Ja ci dam książki. Ale czekaj, oto jest moja wnuczka Walerya, starsza od ciebie i sawantka, ta cię nauczy. A co Walerko, idziesz za mąż podobno, za pana Augusta. Dobry chłopiec, tęgi chłopiec, pracowity chłopiec, winszuję ci. Stawię się z rozkoszą na weselisko.

— *Chèr grand papa*, ja wcale za pana Augusta nie idę, bo mi nie konwenuje. Odpowiedziałam mu stanowczo. Pan August niema ani odpowiedniego majątku, ani pozycyi, a rodzaj jego wychowania mi się niepodoba. *Il est un peu rustique, ce M. Auguste.*

— Dajże mi aśćka pokój z tą francuzczyzną. *Rustique* to podobno znaczy, że ma wiejskie obyczaje, że opalony, spracowany, że dzielnie toczy koniem, że niechodzi we fraku ostatniej mody, bo przyjechawszy do miasta pierwej się widział z porządnymi ludźmi, nim poszedł do krawca. Niema wielkiego majątku, ale tego, który ma, nie straci, niema wychowania i pozycyi? Moja aśćko, taki on szlachcic jak ty szlachcianka, a wiem, że wie o wielu rzeczach, o których ty niewiesz. Dobry Polak, dobry obywatel, wykształcony tak właśnie, jak dla naszych stosunków potrzeba. Ale aśćka chcesz jakiegoś Anglika, nowoupieczonego hrabiego, coby jeździł z tobą za granicę i czytał romanse francuzkie!

— *Voilà, chèr grand papa, une bure bien polonaise.* I szyderczo uśmiechnęła się Walerya.

— No! No! wiem, że co polskie nie smakuje, bo zdrowe i czerstwe, jak pan August. Wiem, że moja Joasia, ta co tam stoi w kącie i przeziera mój zbiór portretów naszych sławnych ludzi, tak nie myśli.

Joasia była moją ulubioną. Wesoła, czupurna, o błyszczącem i szczerem oku, przypominała mi drugą córkę moją, której niestety także już niemasz na świecie. Wychowała się na wsi, u ojca nie bardzo zamożnego, który także na moje urodziny pospieszył.

— A niechno się jej dziadek spyta, zagadał wąsaty

pan Wincenty, kiedy była bitwa pod Kliszowem i traktat buczacki?

— No, kiedyż?

— Niewiem dziadku. Wstydzę się, ale niewiem, rzekła Joasia, spuszczając oczy.

— Jak to niewiesz? Wszakżeś mi niedawno recytowała wieczorem—rzekł zdziwiony Wincenty.

— Alem już zapomniała. Dziadek wie, że ja jestem roztrzepana.

— A to już kara boża, pomyślałem sobie. No! ale wy moi panicze, wy coście pokończyli gimnazya i siedzicie na uniwersytecie, albo już nawet ludźmi *sui juris* zostaliście, wy musicie tam nie mało umieć rzeczy.

Wnukowie moi są to same ładne i dorodne chłopaki. Najstarszy Eugieniusz zwiedził nie mało niemieckich uniwersytetów i szkół rolniczych i osiadł na wsi. Wacław chodzi na prawo i kieruje się na urzędnika. Stanisław ma pociąg na uczonego i chodzi na filozofię. Wiktorek nie chciał się uczyć i siedzi przy rodzicach na wsi. Był między nimi także i daleki mój krewny Tadeuszek, syn mojego dawnego towarzysza broni, chłopiec bardzo poczciwy, tylko szlamazarny trochę. Jednym rzutem oka przejrzałem tę kawaleryą narodową, gdy wszedł jeszcze brat Waleryi, młody hrabia Wilhelm, podobniusieńki do tych jegomościów, których w kościele widziałem. Wrócił świeżo z zagranicy, z skielkiem w oku i angielskiemi bokobrodami.
d. c. n.

La femme, dzieło J. Micheleta. Rozbiór.

Pod tym tytułem wyszła zeszłego roku w Paryżu książka, jedna z tych, jakie tylko Francuzi pisać umieją: nienaukowa ale mądra, niesystematyczna ale logiczna, niewyczerpująca przedmiotu, ale stanowiąca epokę. „La femme“ Micheleta jest wypadkiem historycznym, jak nim był, „Esprit des lois“ Montesquieugo, „Emile“ i Contrat social Roussa, jak nim były pierwsze Jerzego Sanda romanse. Jest wypadkiem historycznym, bo przedstawia walny zwrot w moralnem życiu Francyi, zwrot ku zgodzie i spokojowi, zwrot ku tradycyi familijnej, która długo odciętą była od wstrząśnionych burzą rewolucyjną stósunków rodzinnych. Jako taka zasługuje na szczególniejszą uwagę każdego, który się interesuje losem ludzkości i przodkującego w niej narodu.

Dziwna to zaiste i zajmująca książka. To co w niej Michelet stawia, znajome było każdemu chrześcianinowi: bo każdy wiedział, że kobieta przeznaczoną jest do świętego stanu małżeństwa, że jako matkę i wychowawczynię pokoleń trzeba ją kochać, czcić i szanować, że nareszcie tylko na silnej posadzie familii może stać społeczność ludzka. A jednak we Francyi właśnie, tej krynicy wszelkiego postępu, trzeba było te prawdy odświeżyć, okrasić wymową, poezyą, erudycyą, trzeba im było odjąć trywialność i zepsuty smak społeczeństwa przyzwyczajać do strawy zdrowej i silnej. Książka Micheleta jest pełną wzniosłej miłości chrześciańskiej a o chrześciaństwie prawie zupełnie milczy, co gorsza, wysnuwa swoje prawdy z dziwnego, przeduchowionego materyalizmu i panteizmu. Pod tym względem jest ona jedną przedstawicielką więcej tego tragicznego ruchu historyi, która wyssawszy z Chrystusowej nauki całą swoję potęgę, przez nieopisaną ambicyą zamilcza o swojem źródle niebieskiem i przypisuje sobie wszystkie moralne i intelektualne zdobycze. Jest ona przedstawicielką tego przechodu wielkiego, który duch ludzki odbywa od wierzącej, dziecięcej tradycyonalności do prawd danych, ujętych z całą potęgą ducha dojrzałego.

Książka ta niechybnie była już w ręku dojrzałych czytelniczek naszych. Chcąc ją prawdziwie pożyteczną uczynić, podejmujemy się jej rozbioru z naszego polskiego stanowiska. Nieprzeszliśmy tych wstrząśnień, które przeszedł naród francuzki, bliżsiśmy tradycyi przodków i tych prawd wielkich, które młodym narodom nad kolebką świeciły. To nas usposabia do wysnucia z dzieł naszych umysłowych, dojrzalszych pobratymców, tego, co prawdziwie jest wielkiem i świętem, a do odsunięcia tego, co jest jeszcze chorobą przechodowego ich stanu. W ten sposób tylko zdobycze jednego narodu stają się własnością i siłą drugiego. Wskażemy zatém ile możności wszystkie te strony dzieła wielkiego myśliciela Francyi, które zdołają umocnić wielkie nasze prawdy familijne i wskażemy znowu wszystkie te fałsze, które, jako niezgodne z nami, odrzucić należy.

Michelet dzieli swój przedmiot na trzy rozdziały, które poprzedza wstępem. W pierwszym traktuje o wychowaniu, w drugim o stanie małżeńskim, w trzecim o stanowisku społecznem kobiety. Trudno zaiste znaleźć dzieła, któreby głębiej i miłośniej wnikało w duszę kobiecą, któreby z większą miłością uwzględniało braki i nieszczęścia społeczeństwa. Chcąc okazać postęp pod tym względem dziewiętnastego wieku, porównamy zdania Micheleta z zdaniami Roussa, wypowiedzianemi w Emilu pod rozdziałem: *Sophie ou la femme*.

Książka Micheleta jest dla dojrzałych osób napisaną. W rękach niedoświadczonych, dla umysłu niedość wykształconego mogłaby ona być niebezpieczną. Cenić należy ją z stanowiska Francyi i ludzkości, zdania jej przyjmować lub odrzucać z naszego polskiego stanowiska.

Michelet wychodzi z zapytania: Czemu się we Francyi tak mało żeni? Czemu mężczyzna istnieje obok kobiety w zupełnem oddaleniu? Czemu wygasło ognisko domowe? Bystry historyk pojmuje całą okropność tego stanu—porównywa go do ostatnich czasów rzymskiego cesarstwa, gdzie prawami i karami łamano niechęci ku małżeństwu. Widzi on, że stan podobny musi się kończyć rozstrojem społecznym, zerwaniem wszelkich związków, które naród w sile trzymają.

Jakaż tego przyczyna? Pierwszą niezawodnie jest nędza, powiada autor. Każdy obawia się żenić, bo niema za co utrzymać żony i familii. Te kilka tysięcy franków, które wystarczają dla kawalera, niewystarczą dla rodziny całej.

Drugą przyczynę widzi autor w naturze Francuzek. *La Française est une personne.* Francuzka zostawszy żoną i matką, oskrzydla męża swem działaniem tak, że mąż zostaje na boku. Tej pobocznej roli boją się mężczyzni we Francyi.

Francuzka potrzebuje wiele, uważa dalej Michelet. Na stroje i zbytki niewystarczy jej tylko ogromny majątek. Francuzka nie dzieli wiary narodowej męża, wiary, którą mu dała rewolucya, ona pozostała dawną, wygodną, chciwą tryumfu i hołdów, niedzielącą entuzjazmu męża kobietą, jaką była w dniach rojalizmu. Ale to spostrzeżenie ogranicza Michelet na damy wyższego rzędu i stawia przed oczy czytelnika kobietę ludu, kobietę opuszczoną, kobietę najczęściej upadającą moralnie, wyrobnicę (*ouvrière*).

Obraz skreślony przez autora przynosi chlubę prawdziwą szlachetnemu jego sercu. Wśród tysiąca głosów materjalistycznych, wśród krzyku ekonomistów i techników którzy dla mniemanego dobra ludzkości wprzęgają tysiące dusz w koła swych fatalnych maszyn: Michelet odzywa się z swojem słowem serdecznem, ceniącem wyżej in-

dywidualizm człowieczy nad wszystkie materyalne zdobycze. Odzywa się z mocną wiarą, że ze względów ludzkości *da się, bo się powinno* uskutecznić tę walną naprawę socyalną, która uwalnia tysiące ludzi od strasznej niewoli przemysłu.

Oto biedna wyrobnica. W nędznej wiatrem podszytej sukience, chodzi zimą i latem. Rano pije za *sou* mleka garnuszek, w południe je chleb suchy — wieczór toż samo. Dla czego? Bo wyrobnica zarabia dziesięć *sou* na dzień. Czemuż niemoże zarobić jedenaście? *Z prostej przyczyny, że maszyna do szycia i przędzenia za 10 sous toż samo zrobi, co ona!!*

Ale może im lepiej na wsi, tym biednym męczennicom. Gdzież tam? Rolnik francuzki gospodaruje licho a lubi pić w karczmie. Ma więc długi. Żona musi pracować, aby pokryć wydatki domu, karczmy i wierzycieli. Inaczej mąż, w złym humorze do domu wracający, rozbija jej garnki o głowę. .

Szle więc córkę do miasta, aby na dzień dziesięć *sou* zarobiła. Dziesięć sou wystarczyć niemogą — nieszczęśliwa zmuszona jest „*descendre dans la me.*

Ten okropny stan jest aż za nadto rzeczywistym. Dziękujmy Bogu, że u nas do niego daleko.

Idźmy wyżej. Oto osoba wykształcona ale biedna, która ma na kawałek chleba zarobić swemi wiadomościami. Daje lekcye; mieszka sama gdzieś na czwartem piętrze. Biedne dziecko! Samotność jej jest wolnością dla każdego, aby ją zaczepił, niepokoił, bezczelnie ją napastował. Marzyć jéj niewolno, bo niebezpieczeństwo z każdej strony. Przyszłości niema: bo któżby na seryo myślał o biednej guwernantce . .

Nie! kobieta potrzebuje opieki, kobieta nie może być samą! woła Michelet. I na ostateczny dowód przywodzi przykład jakiejś biednej samotnej, zmarłej w szpitalu. Młoda, bez innego utrzymania prócz dziesięciu palców, przywlokła się z dziecięciem z prowincyi. Praca ją zawiodła, nikt niechciał przyjąć do służby. Ona była słabą, ona miała dziecię. Ktoś miłosierny dał jej umieszczenie na chwilę, ale ona już pracować nie mogła... Przy łóżku umierającej w szpitalu niebyło nikogo...

Historya jedna z tysiąca, ale autorowi wystarcza aby zawołać: Zmiłujcie się nad ziemią, zmęczoną, która bez miłości niema poco istnieć dłużej. Kochajcie jeszcze, kochajcie dla zbawienia świata...

„Boicie się żony, że jej niemożna wziąść jako przódy, jako rzecz, jako własność. Tem lepiej, małżeństwo niechaj będzie związkiem dusz i ciał zarazem...“

Pogodzenia płci spodziewa się Michelet w dwóch dopiero generacyach. Widzi on jak dalece rozbiegły się od siebie, jak kobieta, obrażona swoją samotnością, zapragnęła odrębnego dla siebie życia, jak dalece mężczyzna ducha kobiety od jej ciała odłączył. „Bierzcie sobie za żony kobiety proste, mówi zatem a wychowujcie córki wierzące“. Kobieta prosta stanie się bierną i czułą na reformę waszą i ułatwi przyszłość. Wychowaniu „wierzącej dziewicy następny rozdział Michelet poświęca.

Myśli o wychowaniu kobiecem Micheleta opierają się większą częścią na myślach Russa w Emilu. Jest atoli wielka między oboma systemami różnica: Russo jest czysto empiryczny, wychodzi z prostych często płaskich spostrzeżeń i wszystko napowrót w kluby zimnego, poziomego prowadzi rozsądku. Przeznaczając kobiecie praktyczność, domowość, jako główny cel jej wychowania, odcina ją od wszystkiego wyższego, a zamiast podniosłości uczuć, zamiast szlachetnego entuzyjazmu, zamiast religii nareszcie i świętego niewieściego obyczaju, daje jej roztropność (sagesse) na głównego przewodnika i nauczyciela moralności. Michelet daleko wyżej stawia kobietę. Pojęcia jego są wpawdzie zmącone, niejasne, metafizyczno-poetyczne, ale widać, że mu ta roztropność, ten empiryzm suchy i zimny niewystarcza więcej. Wypowiada więc w najrozmaitszych zwrotach i odcieniach prawdy głębsze, wyższe, które podaje za podstawę życia kobiety. Kobieta u niego raz jest religią, drugi raz harmonią świata, trzeci raz zowie się ołtarzem bóstwa. „Miłość“ nareszcie podaje jako jedyną tajemnicę jej życia i wychowania.

Te głębokie spostrzeżenia gruntuje Michelet na czysto materyalnych podstawach, na anatomii i fizyologii. Pragnie wychowania ściśle naturalnego, wychowania utopistycznego, jakiego chciał Rousseau. Chce aby się wszystko samo w niej rozwinęło; aby przyroda sama wszystko zrobiła. *(D. c. n.)*

ELŻBIETA BLACKWELL
doktor medycyny.

Podajemy życie Elżbiety Blackwell, jako niewiasty, która swojem stanowiskiem dowiodła, że głębszą naukę i umiejętność i duch niewieści przyswoić sobie może — i że Bóg obdarzył go wielkiemi zdolnościami, z których owoce tak zbawiennie ludzkości przydać się mogą. Nie chcemy bynajmniej wzorem tej prawdziwie czci godnej niewiasty narzucać naśladownictwa, nie skłaniamy też do zdawania rygorozów lekarskich — podajemy tylko żywot jej jako niewiasty pełnej poświęcenia i wytrwania — wzór zapewne godny wszystkich uwagi. Później zestawimy obszerniej stanowisko niewiast naszych ze stanowiskiem rodaczek Elżbiety; podamy także obrazy z poglądu na medycynę naszych właścicielek ziemskich, którą z uczuciem godnem także uwielbienia, po wsiach na wieśniakach i wieśniaczakch praktykują — przechodzimy tu zaś do jéj życia, znajdującego się w tegorocznem zeszycie z Marca Revue Européne.

Elżbieta Blackwell urodziła się w *Bristol* z familii zacnej i majętnej. Ojciec jej Samuel Blackwell, po za obowiązkiem administracyi znacznej rafineryi cukru, której był właścicielem, zajmował się czynnie sprawami religii, społeczeństwa i polityki. W roku 1832 przymuszony, upadkiem wielu handlowych domów, porzucić Anglię, udaje się do Ameryki. Osiada w Nowym Jorku. Na tę epokę przypadają lata dziecięctwa Elżbiety. W tych Elżbieta okazuje już nadzwyczajną siłę i wyższość nad swojem rodzeństwem. Przytoczyć tu możemy jedno jej wyrażenie po dokonanym popisie w gronie towarzystwa w rodzicielskim domu. — Pełna dumy z pochwał, któremi ją obsypali, rzekła: „A widzicie — że niektóre niewiasty równie są silne jak mężczyzni.“

Ideałem Elżbiety nie były ideały bajroniczne. Postacie poezyj starożytnych zdołały w niej więcej obudzić zapału, i więcéj dla jéj wyobraźni miały uroku na sobie. Pallas Dianna, nieustraszeni szermierze, królewne legiend północnych — oto były typy niewiast oczom jej duszy najmilsze. Między wielkiemi postaciami niewiast w dziejach, królowa Elżbieta zyskała w niej uznanie niezaprzeczonej wyższości. Najmilszem dziełem, w którem się rozczytywała, było John'a Forstera „*Krótki rys stałości charakteru.*“

Powodzenie w Nowym-Jorku przeszło wszystkich oczekiwania. S. Blackwell wsławiał się znowu, jak przedtem czynami miłościwemi — pierwszy on został założycielem „Towarzystwa zniesienia niewoli“ — i swem doświadczeniem służył za wzór w wielu ulepszeniach społeczeńskich w Stanach Zjednoczonych. Kryzys handlowa 1837 i 1838 roku pozbawiła go wszystkiego, co w przeciągu sześciu lat uzbierał. Przenosi się do miasta *Cyncynnati* — klimat tego miejsca nie sprzyja mu — popadłszy w śmiertelną chorobę, umiera. Dwie jego siostry padły także ofiarą nieprzyjaznego klimatu. Wdowa i dziewięcioro dziatek zostawione były same sobie, aby pracą rąk swoich, życie z dnia na dzień utrzymać. Był to cios dla nich okropny. Dotąd nie myśliły nigdy o potrzebie zarobkowania na siebie. Obowiązek włożony na nie przez ojca, wzbraniał im odbierania długów od dłużników. Najstarsze atoli dziecię nie zdolnem było jeszcze do pracy. Trzy starsze córki, z pomiędzy których najmłodsza Elżbieta zaczynała rok 18sty, miały dźwigać największą część ciężaru. Po nich następowało dwóch chłopców, którzy musieli przerwać nauki i wstąpić do handlu, a nakoniec czworo małych dziatek, z nich największa była Emilia, która od tego czasu dopomagała pracom Elżbiety, a potem zarówno z nią oddawała się zawodowi medycznemu.

Elżbieta wraz ze swemi siostrami, otworzyła pensyą panienek, których liczba doszła wkrótce maxymum — do jakiego dojść tylko mogła. Wszystko to niewystarczało.

W r. 1844 ostatni bracia i siostry doszły do lat, w których mogły na siebie zapra_

cować — dom edukacyjny zamknięto — rodzina rozpierzchła się po świecie. Niektórzy powrócili do Europy, inni pozostali w Ameryce przywiązani do obowiązków swego zawodu.

Tymczasem odbyło się pewne przeobrażenie w duchu Elżbiety. Uwolniona od obowiązków względem swej rodziny zaczęła zastanawiać się nad swoim własnym losem. Nauczanie nie zadawalało jej usposobienia — gnębiło nawet jej siły duchowe. Elżbieta lubiła nauki, historyą, a nadewszystko umiejętności; lecz tyle czuła w sobie powołania do *czynu*, że rozumiała iż nauki czysto spekulacyjne nie mogły być istotą jej życia. Ożywiona zapałem swoich natchnień, widziała w zawodzie medycznym—jedyną drogę dla siebie, po której dojść będzie mogła tam, kędy ją duch czynu—powoływał.

Moc ducha, która była wrodzoną Elżbiecie, odwaga i stałość charakteru, a przedewszystkiem zapał przewodniczący tej pięknej duszy we wszystkich przedsięwzięciach — były niezwalczonemi pobudkami do wykonania raz zamierzonego celu. Nie można też zamilczeć, iż świetność stanowiska, jakie tytuł *doktora medycyny*, (mianowicie do osoby niewieściej przywiązany i to jeszcze w stanach zjednoczonych) zapewnia, nie małą była ku temu ponętą. Wreszcie więc Elżbieta Blackwell postanowiła uczyć się sztuki lekarskiéj. Dla zapewnienia sobie utrzymania przez czas specyalnej nauki, przyjęła najwyższy zarząd wielkiéj szkoły żeńskiej w państwie Kentucky. W chwilach wolnych od zatrudnień oddawała się czytaniu dzieł medycznych: anatomii, fizyologii, itp. Niejednę też noc bezsennie na czytaniu, strawiła. Po upływie roku doniosła o swoim zamiarze rodzinie. Około tego samego czasu, znalazłszy zyskowniejszą posadę porzuciła pierwszy zakład szkolny, i udała się, w charakterze nauczycielki muzyki, do jednego z pierwszych zakładów żeńskich w Charleston. Trudno sobie wyobrazić tyle mocy i wytrwania w niewieście, ile miała Elżbieta. Z jednej strony uciążliwa praca, jaką jest nauczanie, z drugiej usilne kształcenie się w medycynie — przy takich tylko zdolnościach, jakiemi ta wielka istota obdarzoną była, mogły nie przełamać zamiaru. Wszystkiemu odpowiedzieć, wszystkich zadowolić — i swoje, że tak powiem, namiętność wiedzy zasycić, to nie małego ducha sprawy, na to trzeba wielkiej siły! Umiejąc już dobrze po francuzku i po niemiecku wzięła się do łaciny, języka niezbędnie do wyższych umiejętności potrzebnego. Postępy robiła zadziwiające — brat właścicielki zakładu, w którym Elżbieta muzyki udzielała, doktór Dickson (później professor medycyny w Nowym Jorku) zwrócił na nię przezto uwagę, dodał odwagi do wytrwania w zamiarze, pokierował jej nauki, przyjął ją w poczet swych uczniów, jednem słowem ułatwiał jej wszelkiemi środkami dojście do tak pięknie rozpoczętego zamiaru.

W maju 1847, po upływie trzechletniej pracy, panna Blackwell porzuca Charleston i udaje się do Filadelfii, gdzie się nadaremnie stara o udział w wykładach medycyny. Sama prośba, pierwsza w swoim rodzaju, obraziła panów professorów. Uczęszczała więc tylko na pojedyńcze kursa anatomii i patologii pod doktorami *Marrington i Allen*. Lecz sposób takiej cząstkowej nauki wydał się jej niedostatecznym.

Zadaleko rzecz doprowadziwszy nie podobna jej było zrzec się przyszłości, do któréj tak usilnie dążyła. Postanawia więc uczynić raz stanowczy krok i otrzymać to, czego jeszcze żadna z niewiast nie otrzymała tj. stopień doktora medycyny. Zbiera listę wszystkich doktorów krajowych, pisze do każdego prósbę o przypuszczenie jej do akademii, załączając świadectwo Dr. Dicksona, którem tenże uznaje ją za przygotowaną dostatecznie. Wszystkie prośby, a było ich 12, odmówionemi zostały. Po długich i mozolnych zabiegach przyjęto ją nareszcie w *Genewie* (w Nowym Jorku) i w poczet uczniów medycyny wpisano. Wiele bardzo przykrości doznawać musiała w tem miasteczku. W kolegach nie zadługo znalazła wiele sympatyi, lecz zawsze dziwne jej położenie wszystkich uwagę na nię zwracało. Nazywana *lady student*, przez ulicę przejść spokojnie nie mogła; zawsze orszak dziwujących się dzieci i dorosłych towarzyszył jej po mieście, szepcząc ciągle: „Patrz — no! — patrz! doktór niewiasta!“

W czasie wakacyj 1848 przyjętą została do szpitalu Blockley, w Filadelfii, gdzie rozpoczęła praktykę kuracyi na chorych swojej płci.

W styczniu 1849 roku odbyła się nareszcie świetna uroczystość w *Genewie*, na której Elżbieta Blackwell, w togę doktorską ubrana, śród wielu tysięcy widzów, w kościele, z rąk prezydenta akademii dyplom doktorski otrzymała. Elżbieta przy tym akcie przemówiła w te słowa: *Dziękuje ci, panie prezydencie, za uświęcenie nauk moich instytucyją, którą kierujesz. Za pomocą Najwyższego, poświęcę całe swe życie na to, aby niem oddać cześć temu dyplomowi, którym mię pan obdarzyłeś*“. Od tego czasu, w którym jej zamiar został uwieńczonym, Elżbieta oddała się z całym zapałem swemu zawodowi. Zwiedziła Paryż, Graefenberg, Londyn i w tem ostatniem mieście uczyła się jeszcze w dwóch klinikach, obeznawszy się z systematem Gimnastyki, stworzonym przez Linga. Wkrótce została zawezwaną do Berlina, otrzymawszy przyrzeczenie, że ją do akademii berlińskiej przyjmą. Lecz Elżbieta Blackwell kochała bardzo swoję ojczyznę i Amerykę, która dla niej była prawie drugą ojczyzną. Odmówiła więc propozycyi, tyczącej się podróży do Prus i w r. 1851, osiadła w Nowym-Jorku, w charakterze lekarza dla niewiast i dzieci. Łatwo pojąć, jakie powodzenie, jaką przyjaźn i życzliwość mieszkańców wkrótce sobie wyrobiła. Najpierwsi lekarze tego miasta, uznali jej wielką zdolność i naukę; wzywano ją też zawsze na konsylia.

W r. 1852 w obec zgromadzonych niewiast miewała swe „Odczyty“ w których podaje projekt założenia w Nowym-Jorku „domu leczenia dla niewiast i dzieci“ i projekt zakładu edukacyjnego, w którymby gimnastyka pierwszą odgrywała rolę.

W r. 1853 ogłosiła dziełko o tych przedmiotach traktujące, i w tymże roku ustanowiła ochronę dla niewiast i dzieci, w któréj im darmo dawano lekarstwa. Projekta jej zaczęły wchodzić w życie. R. 1854 utworzyło się towarzystwo akcy. naryuszów, celem założenia wielkiej ochrony lekarskiej dla niewiast.

Miło mi tutaj spomnąć, że wraz z siostą Elżbiety, Emilią, Polka Maria Zakrzewska poświęcała swoje usługi w tym nowym zakładzie dla chorych.

Oddając się z zwykłem sobie poświęceniem pielęgnowaniu i szczęśliwemu leczeniu chorych w swym zakładzie, Elżbieta, pozostawała w Nowym-Jorku aż do roku 1858, w którym, interessa familijne powołały ją do Anglii. Tutaj kilkakrotnie występowała publicznie i przez to dała poznać swój piękny talent krasomóstwa, obudzający w jej życzliwych, jeszcze więcej ku niej czci i podziwu. Postanowiła wreszcie pozostać w Anglii na zawsze i w tym celu urządzona została klinika dla niewiast, której kierownictwo powierzono doktorowi Elżbiecie. Pani Meyalles i pani Byron okazały największej gorliwości i wspaniałości pannie Blackwell, ceniąc jej naukę i szlachetne zamiary.

Elżbieta Blackwell wydała w owym czasie książkę od znawców wielce cenioną p. t. *Przepisy życia*. W piśmie wychodzącem w Paryżu, z któregośmy całą treść jej żywota zaczerpnęli, autor artykułu p. t. *Niewiasty w społeczeństwie angielskim*, rozbiera to jej dzieło krytycznie, przechodząc cały układ dzieła i przytaczając niektóre ważniejsze ustępy, przyznaje mu wiele prawdy, przyznając jego autorce głęboki rozum filozoficzny i gruntowną znajomość serca i duszy człowieka.

J. K. T.

⊙ Piękną i rzadką rocznicę obchodzi w tym roku świat polski. Tysiąc lat upłynęło od czasu, w którym dom pracowitego a zacnego kołodzieja Piasta pańscy odwiedzili aniołowie. Byłoto pierwsze zaranie łaski bożej nad nami, pierwszy promyk, zaszczepionej u nas Chrystusowéj wiary. Rodzina tego Piasta dzielnie i zacnie rządząc Polską, panowała w niej prawem sukcesyjnem lat 510 (od 860 do 1370 r. t. j. do śmierci Kazimierza Wielkiego). Pamięć jej równie drogą jest dla nas, jak drogą być winna pamięć pierwszego założyciela jej szczepu. To też we wszystkich krajach, gdzie tylko polskim mówią językiem, z prawdziwie nabożnem uczuciem tę tysiącoletnią obchodzą dziś rocznicę. Sędziwy nasz dziejopis Joachim Lelewel w liście swoim, z którego wyjątki w Przeglądzie Powszechnym umieszczono, z rzewną prostotą właściwą wszystkim jego dziełom, podaje nadgoplańskim mieszkańcom porządek, w jakim obrząd tej uroczystości odbyć się powinien.

Wiadomość Literacka.

W tym roku wyszedł we Lwowie I. tom dzieła Hipolita Witowskiego *Szkółka Powszechna* dla dzieci.

Pismo to ma zaletę jasności i taniości a może nie tylko być pożytecznem dzieciom przy pomocy nauczycielskiéj, lecz i dorosłym obojej płci, którzy nie mieli sposobności nabyć z fundamentu, (jak to mówimy) nauk fizykalnych. Nauki fizykalne zaś nietylko są potrzebne inżynierom, budowniczym i. t. d., lecz każdej gospodyni czyli pani domu.

Korespondencya

od redakcyi.

S. T. T. K. w Czerniowcach. „*Zapiski z okolicy*“ Pańskiéj, mające zawierać obrazki *nowe* i rysy charakterystyczne, z chęcią i wdzięcznością przyjmiemy. Wierszy nadesłanych, jako zbyt mało ogół obchodzących, użyć nie możem.

Anonim w Krakowie. Uprasza się autora czy autorki (?) wiersza p. t. „*Zdrój Swięty*“ o nadesłanie swego nazwiska, którego nie znając Redakcya, artykułu drukować nie może. Wiadomość ta potrzebną jest wyłącznie Redakcyi, któréj takie zaufanie się należy.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**